



B. J. Daniels

Cisza przed burzą

B.J. Daniels

Cisza przed burzą

Tłumaczył
Jacek Żuławnik

Tytuł oryginału: The New Deputy in Town

Pierwsze wydanie: Harlequin Books, 2007

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Krystyna Barchańska-Wardęcka

Korekta: Małgorzata Narewska, Krystyna Barchańska-Wardęcka

© 2007 by Barbara Heinlein

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans & Sensacja są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8186-5

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Drżącymi dłońmi otworzyła bieliźniarkę, żeby wydobyć z niej kij bejsbolowy, wciśnięty w najciemniejszy kąt szafy. Po ostatnim razie zastanawiała się, czy nie powinna w ogóle się go pozbyć, ale w końcu wytarła tylko starannie plamy krwi i postanowiła go zatrzymać.

Nie była głupia. Oglądała przecież kryminalne seriale telewizyjne, takie jak na przykład CSI, i dobrze wiedziała, jak bada się ślady krwi, w jaki sposób uzyskuje się próbki DNA, a potem tropi przestępcę.

Lecz z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że lepiej niczego nie zmieniać. Rytuał był ważny. Za każdym razem powinien być to sobotni wieczór. Zawsze powinna mieć na sobie tę niebieską sukienkę, którą założyła za pierwszym razem. I bez wyjątku powinna używać tego samego starego kija bejsbolowego, który kiedyś znalazła.

Nagle usłyszała głos dobiegający z salonu:

– Idziesz na spotkanie z przyjaciółmi? Chyba już zbyt późno na wychodzenie z domu, prawda?

Zduśla w sobie poirytowanie. Miała serdecznie dość wysłuchiwania uwag matki. Niedobrze jej się robiło, gdy pomyślała, czego się od niej oczekuje. Położyła kij na łóżku i sięgnęła po niebieską sukienkę. Jej rąbek szpeciła niewielka plamka krwi, której żadnym sposobem nie udało się wywabić. Zmarszczyła brwi, przejęta, że nawet

ta maleńka plamka może wszystko zmienić. Wypracowana rutyna legnie w gruzach.

Medytowała nad plamką kilka chwil. A może tego wieczoru nie powinna wychodzić? Ale przecież była sobota i bary będą pełne mężczyzn, którzy upiją się i będą chcieli z nią zatańczyć.

Wyobraziła sobie ich zapach, dotyk spoconych rąk na swojej niebieskiej sukience, ich oddech na swoim policzku.

Włożyła sukienkę i wzięła do ręki kij bejsbolowy.

Wyszła tylnymi drzwiami. Był sobotni wieczór, miała na sobie swoją niebieską sukienkę, a w ręku dzierżyła kij. Dziś wieczorem pewnego mężczyznę czekała niespodzianka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Był niedzielny poranek. Laney Cavanaugh zerknęła na książkę leżącą na kolanach, a potem spojrzała przed siebie. Miała problem ze skoncentrowaniem się na lekturze. Wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągała się monotonna równina porośnięta wysoką, żółtą trawą, która falowała równomiernie w rytm porannego wietrzyku. Na wschodzie, daleko na horyzoncie, majaczyła posępna sylwetka starego młyna. Patrząc zaś w kierunku południowego zachodu, można było dostrzec niewyraźny zarys Little Rockies i Bear Paw, pasm górskich będących częścią Gór Skalistych. Jeśli nie liczyć tych dwóch punktów orientacyjnych, wokół rozpościerały się tysiące mil kwadratowych prerii.

– Nuda, co? – Laci, młodsza siostra Laney, wyszła z domu, a za nią trzasnęły drzwi z naciągniętą siatką przeciw owadom. – Nic dziwnego, że mama stąd uciekła. Nie znoś tu przebywać. – Laci opadła na krzesło obok Laney, wydając z siebie głośnie westchnienie.

Laney nie zgadzała się z siostrą. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżała, opanowywało ją dojmujące uczucie spokoju. Lubiła ciszę, którą mąciło jedynie cykanie świerszczy w trawie albo bzyczenie pszczoł. Nocą czasem słyszeć było wycie wiatru, a monotonne bębnienie deszczu o dach sprowadzało senność. A jednak dziś czuła

niepokój. Miała wrażenie, jakby lipiec wstrzymał oddech i czekał na coś, co miało się wydarzyć. To było jak cisza przed burzą. Nie podzieliła się tymi myślami z Laci, bo młodsza siostra zapewne wykiłaby jej przecucia.

– Och, tyle w tobie dramatyzmu! – często powtarzała Laci. – Powinnaś być zostać aktorką czy pisarką, nie wiem, kimkolwiek, byle nie księżową.

– Idę coś upiec – oznajmiła Laci, wstając nagle z krzesła.

Nigdy nie potrafiła usiedzieć spokojnie na miejscu. Była dopiero dziewiąta rano, a Laci zdążyła już przygotować śniadanie: placek z borówkami, tartę ze szpinakiem i boczkiem oraz koktajle owocowe. Cóż, gotowanie sprawiało jej radość.

– Nigdy nie rozumiałam, po co dziadkowi ten dom – rzuciła Laci.

Laney rozumiała. Dom był wszystkim, co zostało im po córce Genevie. Tutaj urodziły się Laney i Laci. Później ich ojciec zginął w wypadku samochodowym na drodze do Whitehorse, niewielkiego, typowego dla Montany miasteczka położonego na północy.

Początkowo osada o tej nazwie mieściła się bliżej rzeki Missouri, ale kiedy zaczęto budować na tych terenach linię kolejową, miasteczko przeniosło się osiem kilometrów na północ. Pierwotna osada została niemal całkowicie opuszczona przez dawnych mieszkańców i obecnie – za wyjątkiem nielicznych rancz i garstki oryginalnych budynków – przypominała miasteczko widmo, a raczej osadę widmo. Mówiło się o niej: Stare Whitehorse.

Miasteczko stanowiło niegdyś schronienie dla koniokradów, których osadnicy albo przepędzili, albo po pros-

tu powiesili na najbliższej gałęzi. Rodzina Laney była jedną z tych, które jako pierwsze przybyły na te tereny w pobliżu miejsca, w którym Missouri wrzyna się głębokimi meandrami w ląd.

Dom i wspomnienia o córce to wszystko, co pozostało dziadkowi Titusowi i babci Pearl. Titus dbał o dom, bo wierzył, że pewnego dnia Geneva powróci.

Zgodnie z obietnicą, każdego lata Laney i Laci przyjeżdżały na dwa tygodnie w odwiedziny. Laney co prawda czuła się winna, że nie może poświęcić na wizytę więcej czasu, ale przecież miały z Laci własne życie: Laney w Mesa w Arizonie, a jej siostra w Seattle. Przez pozostałą część roku dom stał pusty i czekał na kogoś, kto już nigdy nie miał do niego wrócić.

Laney próbowała skupić się na książce, ale jej myśli wciąż wędrowały ku innym sprawom. Zapatrzyła się w ciągnącą się przez pola gruntową drogę.

Nic się nie poruszało. Pojedyncze cumulusy upstrzyły tu i ówdzie niebo, co nie przeszkodziło słońcu piąć się coraz wyżej i wyżej i zalewać świata żarem. Chmura przepłynęła nad Laney i rzuciła ciemny, chłodny cień. Laney zadygotała i poczuła niepokój.

Nagle rozległ się tętent kopyt, a za chwilę Maddie, kuzynka Laney i Laci, wyłoniła się zza rogu, zatrzymała tuż przed werandą i zeskoczyła z konia w chmurze pyłu. Jej słomkowy kapelusz rzucał cień na rozpaloną radosnym podnieceniem twarz.

– Słyszałam, że przyjechałyście – powiedziała Maddie i przeskoczyła przez balustradę, jakby nadal była małą dziewczynką. – Mama przyjedzie później, ale ja nie mogłam się doczekać, więc wskoczyłam na konia i oto jestem – oznajmiła i uściskała Laney.

– Przyjechałyśmy wczoraj wieczorem. – Laney spojrzała na kuzynkę i uśmiechnęła się.

Maddie, już dziewiętnastoletnia, niewiele się zmieniła i nadal wyglądała na niezłą łobuziarę. Była wysoka i szczupła, niemal koścista. Bujna czupryna rudawych blond włosów okalała upstrzoną piegami twarz, w której uwagę przyciągały błękitne oczy. Miała na sobie koszulę, dżinsy i wysokie buty.

– A gdzie Laci? – zapytała Maddie niecierpliwie. – Złożę się, że znowu gotuje. Ach, cóż to za boski zapach?

Z wnętrza domu unosił się ciepły aromat ciasta czekoladowego, choć tak naprawdę było zbyt gorąco, żeby zajmować się pieczeniem. Laci jakoś nigdy to nie przeszkadzało.

– Kto ma ochotę na kawałek ciepłego ciasta? – krzyknęła z kuchni.

– No, zgadnij! – odpowiedziała jej Maddie, a potem spojrzała na Laney z poważną miną. – Chciałabym, żebyście tu zamieszkały. Nie znoszę waszych odwiedzin, bo za szybko się kończą. – Ponownie uściśnęła Laney, tym razem odrobinę dłużej.

Gdy tak trwały w objęciach, Laney poczuła, że kuzynka drży lekko. Chwyciła ją za ramiona i przyjrzała się uważnie. Maddie wzdrygnęła się. Laney, obejmując ją, niechcący podwinęła jej rękaw i dopiero teraz spostrzegła ciemne sińce, jeden po drugim w równej odległości, jakby ktoś zbyt mocno złapał ją za ramię.

– Co to jest? – zapytała, choć chciała raczej zapytać: kto ci to zrobił?

– Znasz mnie – odparła pospiesznie Maddie, ściągając rękaw tak, by zasłonić siniaki. – Zawsze była ze mnie niezłoda. To nic takiego.

Nic takiego? Laney wyczuła, że coś jest nie tak, gdy Maddie rzuciła jej uspokajający uśmiech, który bynajmniej nie wypadł wiarygodnie, i pognała do kuchni.

W dniu, w którym szeryf Carter Jackson poleciał na Florydę, jego zastępcą, Nick Rogers, przejął na swe barki ciężar prowadzenia biura. Dlatego nie zdziwiło go, że w niedzielny poranek wezwano go do kolejnej sprawy o napaść.

Już dwukrotnie od momentu podjęcia pracy miał do czynienia z podobnymi sprawami. W obydwu przypadkach ofiarami byli mężczyźni – zaatakowano ich w sobotni wieczór w okolicy baru, kiedy to lokal pękał w szwach, a rozrywki dostarczała grająca na żywo kapela. Zapewne dlatego nikt nie słyszał szamotaniny na parkingu.

Odnalazł Curtisa McAlheneya przy barze. Mężczyzna niespiesznie sączył piwo. Nick usiadł obok i zamówił filiżankę kawy.

Curtis miał rozciętą wargę, podbite oko i złamany nos. Pochylał się nad kontuarem, jakby dokuczał mu ból żeber.

- Złamane czy pęknięte? – zapytał Nick.
- Pęknięte, ale boli jak diabli – odparł Curtis.
- Widziałeś napastnika?

Curtis – trzydzieści parę lat, przerzedzone, brązowe włosy wystające spod zielonej czapki z logo producenta maszyn rolniczych i wylewający się z džinsów pokaźny brzuch opięty koszulką, na której napis oświadczał, że jej właściciel jest darem Boga dla kobiet – obrzucił Nicka podejrzliwym spojrzeniem.

- Napastnika? – powtórzył Curtis jak echo. – Nie

widziałem żadnego napastnika, tylko jakiegoś sukinsyna z kijem bejsbolowym w łapie.

– Widziałeś jego twarz?

Curtis pokręcił przecząco głową.

– Było ciemno. Uderzył mnie od tyłu, powalił na ziemię i sprął na kwaśne jabłko. Wielki był, tyle mogę powiedzieć.

Nick kiwnął głową. To samo usłyszał od poprzednich dwóch poszkodowanych. Przypuszczał, że w rzeczywistości napastnik wcale nie był wielki. Wielkolud uzbrojony w kij bejsbolowy wyrządziłby człowiekowi o wiele większą krzywdę.

– Ukradł ci coś?

Curtis sprawiał wrażenie zmieszanego.

– Pewnie taki miał zamiar. Chyba doszedłem do siebie szybciej, niż się spodziewał, więc dał drapaką, zanim zdążyłem zabrać mu ten jego kijek i pokazać, gdzie raki zimują.

Jasne. Wydawało się, że motywem wszystkich dotychczasowych napaści nie był wcale rabunek, bo w żadnym przypadku mężczyźni nie stracili niczego poza swoim honorem. Napastnik atakował, okładał ofiary kijem i szybko się ulatniał.

– Pokłóciłeś się z kimś, zanim wyszedłeś z baru?

– Nie. Wypiłem tylko parę browarów i trochę potańczyłem.

Ta sama śpiewka. Nick zakładał rzecz jasna, że w grę wchodziło nieco więcej niż „tylko parę browarów”.

– Jeżeli przypomnisz sobie coś jeszcze, to wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział Nick, dopijając kawę.

– Ten gnojek to musi być jakiś przybłęda, nie, Shirley? – rzucił Curtis w kierunku barmanki.

Chuda jak patyk, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta skinęła głową.

– Nikt z miejscowych nie zrobiłby czegoś takiego bez powodu.

Napastnik, pomyślał Nick, kimkolwiek był, miał swoje powody, dla siebie wystarczająco dobre. Rzucił na ladę pieniądze za kawę i drobny napiwek. W tym samym momencie zawibrowała jego komórka.

– Kłopoty w Starym Whitehorse – odezwała się w słuchawce dyspozytorka. – Alice Miller twierdzi, że ktoś ukradł jej kury.

Gdy Maddie wskoczyła na konia i ruszyła w powrotną drogę, Laci oparła nogi na balustradzie i westchnęła:

– Musimy urządzić dla niej przyjęcie.

Laney spojrzała znad książki, której i tak nie czytała. Zamiast lekturze, oddawała się myślom o swojej kuzynce.

Laci sięgnęła po ciastko. Zanosilo się na to, że spędzą ranek na werandzie, zjadając się ciasteczkami, popijając lemoniadę i przy okazji rozmawiając o dawnych czasach.

– Urządzimy przyjęcie zaręczynowe – rzuciła Laci między jednym kęsem a drugim.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – odparła Laney. – Czy Maddie nie wydaje ci się trochę... inna?

Siostra rzuciła jej zaintrygowane spojrzenie.

– Od zeszłego lata zrzuciła parę kilogramów. Wszystkie przyszłe panny młode tak robią, prawda?

Być może.

– Owszem, jest za chuda, ale nie o tym mówię. Maddie nie wydaje się...

– Szczęśliwa? – Laci zaczęła się śmiać. – Maddie mogłaby służyć za wzór szczęśliwego dzieciaka.

– Odniosłam wrażenie, że stara się odrobinę za mocno – odparła Laney.

Widziała swoją kuzynkę zeszłego wieczoru, kiedy razem z Laci wybrały się do miasta, ale Maddie ich nie dostrzegła. Opuszczała bar tylnym wyjściem w tej samej chwili, w której Laney i Laci wchodziły do niego frontowymi drzwiami. Laney zawołała ją, ale najwyraźniej nie zdołała przebić się przez zgiełk panujący w knajpie.

– Pamiętasz wczoraj w barze? Nie była ze swoim narzeczonym.

Laci jęknęła.

– Z Maddie wszystko jest w porządku. Jestem pewna, że nie robiła nic złego. Ot, potańczyła z paroma ranczerami, tak samo jak my. Przecież wyszła z baru sama, prawda?

Laney przytaknęła.

– A widzisz. Maddie po prostu... potrzebuje trochę przestrzeni.

No, może. Laney jednak nie była przekonana.

– Pomóż mi ułożyć menu na tę imprezę. Chcę, żeby to było coś, czego Whitehorse jeszcze nigdy nie widziało. – Laci aż podskoczyła z radości na tę myśl. – Jak sądzisz, co powinniśmy przygotować do jedzenia?

– Nie uważasz, że wypadłoby najpierw porozmawiać o tym z Maddie? Może ona wcale nie ma ochoty na imprezę zaręczynową?

Laci wybuchła śmiechem i podniosła się z krzesła.

– A kto by nie chciał przyjęcia zaręczynowego? Zraz wezmę się za przeglądanie starych przepisów babci. Myślę, że przygotuję wyłącznie desery. Jak myślisz?

Nie czekała na odpowiedź. Sekundę później trzasnęły drzwi i po Laci nie było śladu.

Laney wpatrywała się w horyzont i starała się określić, co zaniepokoiło ją w Maddie. Może chodziło o to, w jaki sposób kuzynka wyrażała się o swoim narzeczonym, Bo Evansie – że umarłaby bez niego? Albo o to, jak bawiła się swoim pierścieniem zaręczynowym? Albo że dla małżeństwa lekką ręką zrezygnowała z college'u, chociaż otrzymała stypendium?

Wszystko to Laney mogła zrzucić na karb miłości.

Wszystko, ale nie siniaki. A także przecucie, że z kuzynką coś jest nie tak.

Zamknęła książkę i powędrowała wzrokiem wzdłuż drogi. Powróciło do niej uporczywe wrażenie, że za chwilę ujrzy posłańca niosącego złe nowiny.

– Zanieśmy trochę ciastek siostronom – powiedziała Laney, wchodząc do kuchni z talerzem w jednej ręce i szklankami po lemoniadzie w drugiej. – Chcę pójść do szpitala, odwiedzić babcię.

Laci spojrzała na nią, przerywając studiowanie starej księgi kucharskiej.

– A możesz iść beze mnie? Nie lubię oglądać babci w takim stanie. Poza tym muszę wziąć się do roboty, jeżeli chcę zdążyć z przygotowaniem wszystkiego na przyjęcie. Myślę, że najlepiej byłoby urządzić je w przyszłą sobotę. Jestem pewna, że pozwolą nam skorzystać z pomieszczeń domu kultury.

Laney zdawała sobie sprawę, że Laci niełatwo było oglądać babcię Pearl po wylewie. Oczy staruszki pozostawały otwarte, ale nie reagowała na żadne bodźce i nie wiadomo było, czy w ogóle rozumie, co się do niej mówi, ani czy poznaje swoje wnuczki.

Babcia leżała w szpitalu chora na zapalenie płuc, kiedy nagle dostała udaru. Dziadek mówił, że to dlatego, że strasznie przejmowała się jakimiś sprawami w Starym Whitehorse.

– Myślę, że obydwie powinniśmy ją odwiedzić – orzekła Laney. – Dziadek i tak będzie niezadowolony, że dziś rano nie pojawiłyśmy się na jego mszy, więc może uda nam się przekupić go ciasteczkami. Wiesz, że cały czas czuwa przy babci.

Laci kiwnęła głową, aczkolwiek niechętnie.

– Okej, ale nie pozwól mu opowiadać o matce. Nie zniosę tego. On naprawdę uważa, że Geneva pewnego dnia wróci, jak gdyby nigdy nic. Dlaczego nie dotrze do niego, że odeszła na dobre? Z tego, co wiadomo, pewnie nie żyje.

– Widocznie dziadek wierzy, że znów ją zobaczy – odparła Laney, chociaż zgadzała się z siostrą. Gdziekolwiek Geneva Cavanaugh Cherry teraz była, ten dom był ostatnim miejscem, do którego pragnęłaby powrócić.

Nick nigdy wcześniej nie był w Starym Whitehorse. Zupełnie by je przeoczył, gdyby nie zauważył tabliczki ledwie wystającej znad zielska porastającego pobocze.

„Whitehorse. Liczba mieszkańców: 50”.

Wątpliwa sprawa, wzięwszy pod uwagę wiek tej tabliczki. Bardzo wątpliwa.

Nick pokonał szczelnie porośniętą trawą osiem kilometrów, mając na horyzoncie jedynie nieskończony błękit nieba. Zrozumiał, dlaczego miejscowi nazywają te tereny „wielką otwartą przestrzenią”.

Przebywszy w końcu trawiasty bezkres, dotarł do Starego Whitehorse. Stało tu kilka domów, z których jeden